Rozmaitości

Dnia 3. Września Nr 36. 1836 Roku.

NAPOLEON
W BITWIE POD EYLAU.
Z pamięt. jen. Caulincourt.

Noc z 4. na 5. lutego przepędziliśmy w Szlitt, w lichéj wioszczynie, o kilka godzin drogi od Eylau; cesarz stanął główną kwaterą w nędznéj lepiance o jednym kominie, który z kuchni wychodził. Mimo téj niewygody, Napoleon był w najlepszym humorze. W izbie znajdował się tylko jeden stół; zastawiono mu na nim wieczerzę, którą on w pięciu minutach skończył; potém zerwał się i na Constan'a żartem rzuciwszy serwetę, zawołał z uśmiéchem: »Każno prędko pozbiérać resztki z mojéj spaniałéj biesiady!« (która składała się tylko z jednéj potrawy), i żywo przystąpił do swego małego żelaznego łóżka, na którém leżały mappy i plany. W téj saméj chwili wręczono cesarzowi depesze, przyniesione przez służbowego oficéra. Napoleon przebiegł takowe, i zawołał: »Mamy ich!« W tém wzrok jego stał się pochmurny i dodał surowym głosem: »Lecz cóżto, depesza ta, jeźli się nie mylę, szła zbyt długo; przyzwać mi oficéra, chcę z nim mówić.«

»O któréj godzinie wręczono wćpanu tę depeszę?« zapytał wchodzącego.

»O 8méj wieczór, Najj. Panie.«

»Wieleż godzin miałeś drogi?«

»Tego dokładnie powiedzieć nie mogę.«

»Wćpan powinieneś to wiedzieć,« rzekł Napoleon z gniewem, przeszywając wzrokiem zbladłego oficéra; »każdy oficér służbowy powinien to wiedzieć. Ja to wiém przynajmniéj. Miałeś tylko cztéry godzin drogi... wyjechałeś o 8méj, patrz na swój zégarek, któraż godzina?« Oficér oniemiał z pomieszania. »No, czy łaska odpowiedzieć? któraż teraz godzina?« natarł na niego Napoleon opryskliwie.

»Sire, pół do piérwszéj,« wybąknął oficér, »lecz drogi tak są popsute, takie zaspy śniegu.«

»Nędzne wymówki! oddal się wćpan i oczekuj moich rozkazów.«

Skoro oficér zamknął drzwi za sobą, rzekł Napoleon z uśmiéchem: »Potrzeba było skarcić wygodnego panicza, aby na potém lepiéj ostróg swoich umiał zażywać. Założę się, że odpowiedź moja dostanie się na miejsce we dwóch godzinach.«

Jenerał Lasalle, obozujący w bliskości Deppen, donosił cesarzowi, że nieprzyjacielska kolumna, złożona z 15 do 16,000 ludzi, przez śniegi zatrzymaną i od głównéj armii odciętą została. Byłato największéj wagi wiadomość. Napoleon wydał rozkaz jenerałowi Lasalle, aby ze swoją dywizyją uderzył na nieprzyjacielską kolumnę, i przeszkodził połączeniu się jéj z główną armiją. Poczém kazał przywołać do siebie służbowego oficéra, i rzekł do niego: »Wracaj wćpan do swego jenerała; oddasz mu tę depeszę, która jest pilną; masz stanąć o trzeciéj godzinie, słyszysz wćpan; o trzeciéj godzinie depesza ma się znajdować w ręku jenerała.«

»Sire!« odrzekł młody oficér stanowczo, »o pół do trzeciéj będzie jenerał czytać depeszę, którą mi W. Ces. Mość powierzasz.«

»Dobrze tedy, żegnam wćpana,« gdy już był u drzwi, raz jeszcze zawołał na niego, i rzekł: »Powiedź jenerałowi, że miło mi będzie, jeżeli mię przez wćpana uwiadomi o skutku wyprawy.« Takto umiał Napoleon ukształcać sobie oficérów, którzy woleli stokroć życie swoje narazić, niż się na przyganę z jego strony wystawić.

Lasalle, stosownie do rozkazu, pobił nieprzyjacielską kolumnę. Korzyści zwycięztwa

były wielkie. To pozbawiło w części armiję nieprzyjacielską środków komunikacyi i spodziewanych posiłków. Skoro Napoleon tę wiadomość otrzymał, wykrzyknął radośnie: »Dzielny Lasalle! waleczne wojsko! teraz bitwa wygrana. Mości panowie, naprzód pod Eylau!«

W dniu bitwy najszkaradniéjszą mieliśmy niepogodę, śnieg z drobnym pomieszany deszczem, pokrył ziemię skorupą lodową; żołniérze i konie ledwo na nogach utrzymać się mogli; a jednakowoż od samego świtu walczono z największą zapalczywością. Nakoniec i słońce zaszło, a bitwa jeszcze nie była roztrzygnięta. Ku wieczorowi cesarz w niecierpliwości swojéj objeżdżał pole bitwy; mimo gradu kul zwiédzał każden punkt zagrożony, w tém przekonaniu, że obecność jego cuda tworzy. Na niektórych punktach ustało już strzélanie; nieprzyjaciel przy nadchodzącéj nocy zdawał się ustępować z pola bitwy. O godz. 8méj doniesiono Napoleonowi, że bardzo ważne stanowisko koło kościoła w Eylau, które w ciągu dnia po kilkakroć zdobywane i tracone było, blizkiém jest wzięcia przez nieprzyjaciela. Wojsko nasze ciągle walcząc z przeważniéjszą siłą cofnęło się na cmentarz. Piorunem był już Napoleon pośród chwiejących się batalijonów na cmentarzu: »Cóżto ma znaczyć?« krzyknął, »garstka nieprzyjaciół miałażby pokonać żołnierzy wielkiéj armii? Nie... to być nie może! Artyleryja naprzód! Naprzód waleczni, musimy zdobyć kościoł... musimy!«

»Niech żyje cesarz!« zagrzmiali żołniérze, i w ściśniętych szeregach poszli do szturmu.

O kilka kroków od cesarza szedł stary grenadyjer; twarz miał oczernioną dymem prochu, osmolone wąsy, krwią suknie zbryzgane, a lewe ramię zgruchotane od kuli działowéj; nie zważając na to szedł śmiałym krokiem w swoim szeregu.

»Idź, i każ się zawiązać!« zawołał nań cesarz.

»Jeszcze nie czas,« odrzekł grenadyjer ozięble.

»Mówię ci, udaj się do ambulansu!« zawołał Napoleon.

»Wprzód musimy zdobyć kościoł,« odrzekł żołniérz, i już nam zniknął z oczu.

Około godziny 10téj kościoł znowu był w naszéj mocy. Cesarz kazał wstrzymać ogień; wojsko udało się na spoczynek. Napoleon, wycięczony pracą dnia całego, powróciwszy do swego namiotu, rzekł do mnie: »Wszystko idzie pomyślnie! Jutro będziem mieli jeszcze dzień gorący, lecz bitwa wygrana.«

Jak był ubrany rzucił się na łóżko, i zasnął niebawem. O 4téj rano już znowu siedział na koniu i wydawał potrzebne rozkazy; ustawiał artylleryję, przemawiał do szeregów, i objeżdżał front każdego pułku. Równo ze wschodem słońca rozkazał, aby na wszystkich punktach uderzono na nieprzyjaciela. Około 11téj rano zawierucha, która od świtu trwała, tak gęsto sypała śniegiem, że o dziesięć kroków nie można było nic widzieć. Właśnie w tym czasie postrzeżono oddział nieprzyjacielski z 5 do 6000 ludzi, ktory odebrawszy w nocy rozkaz połączenia się z główną armiją, zabłąkał się w śniegowéj zamieci, i w niepewności zbliżał się ku nam na strzał karabinowy. Cesarz natychmiast wyprawił przeciw niemu dwa batalijony grenadyjerów gwardyi, pod dowództwem jenerała Dorsenni. Grenadyjery podsuwali się w milczeniu, trzymając broń na ramieniu. Tymczasem szwadron, pełniący służbę przy cesarzu, uderza z tyłu na nieprzyjacielską kolumnę, i napędza ją na naszych grenadyjerów, którzy ją bagnetami przyjmują. Niespodziéwany ten napad zrazu pomieszał szyki nieprzyjaciela; lecz potém opamiętawszy się i poznawszy swoję przewagę, mężny stawił opór i nad grenadyjerami zaczął brać górę. Gdy w téj właśnie chwili wysuwa się młody oficér z szeregu, byłto mężny kapitan Ernest Anzoni, i donośnym zawoła głosem: »Za mną waleczna moja kompanijo! Za mną towarzysze! zdobędziem sztandar nieprzyjacielski!« i z dobytą szpadą, na czele swoich żołniérzy, uderza na nieprzyjacielskie szeregi. Gwałtowne to natarcie łamie czoło szyku nieprzyjacielskiego; grenadyjerowie wpadają w środek, i niebawem cała kolumna rozbita, pomordowana i zabrana w niewolę.

»Najpiękniéjszeto dzieło dnia dzisiejszego!« zawołał cesarz, który był świadkiem odwagi bohatérskiéj Anzoni'ego. Kazał go przyzwać do siebie, i rzekł: »Kapitanie Anzoni! godzien jesteś zaszczytu dowodzić moimi starymi grenadyjerami. Krzyż oficérski z pensyją 2,000 frank. są nagrodą wćpana. Z początkiem kampanii otrzymałeś stopień kapitana; tym krokiem postępuj daléj, a z wysokim stopniem powrócisz do Paryża. Stopień nabyty na polu bitwy, najwięcéj człowieka uzacnia w oczach

moich. Dziesięć krzyżów legii honorowej rozdane zostaną między żołnierzy wćpana.«

Jednogłośne: »Niech żyje!« zabrzmiało, i z nieopisanym zapałem na nowo w bój poszli żołnierze. Nieprzyjaciel został pobitym, i szukał ocalenia w ucieczce. Lecz dla Napoleona dzieło dnia tego nie było jeszcze skończoném; podług swego zwyczaju objeżdżał on pole bitwy aby obrachować stratę nieprzyjaciela, i obecnością swoją ożywić staranność około rannych, słowem, aby na wszystko mieć baczne oko.

Przerażający był widok rozległéj przestrzeni pokrytéj śniegiem, zaczerwienionym potokami krwie. Przejeżdzaliśmy około pewnego wachmistrza od dragonów, ranionego śmiertelnie, który ujrzawszy cesarza, zawołał: »Umiéram! lecz mniéjsza oto... niech żyje cesarz!« — »Zanieść tego walecznego do ambulansu,« rzekł cesarz do swoich służbowych oficérów; »mości panowie, pozsiadajcie z koni, weźcie go na ramiona i polećcie staraniom Larrey'a.« Duże łzy stoczyły się po bladém licu dragona; pobożnie złożył ręce i zawołał: »Jak mi Bóg miły, gdybym miał sto życiów, z radością oddałbym wszystkie za tego człowieka!«

Koło jednéj bateryi opuszczonéj przez nieprzyjaciela ujrzeliśmy 1500 do 2000 poległych grenadyjerów i drugie tyle nieprzyjacioł, pomieszanych z sobą w szérokim krwie strumieniu. Musiała się tu nie do opisania zacięta walka toczyć. Przytłumione: »Niech żyje cesarz!« słabo dawało się słyszéć z téj mogiły trupów. Zwróciliśmy oczy ku stronie zkąd głos ten wychodził, i ujrzeliśmy ozdobionego krzyżami i ranami okrytego oficéra, który do pół zawinięty w sztandar nieprzyjacielski, usiłował powstać z ziemi. Gdy się Napoleon doń przybliżył, zawołał: »Niech żyje cesarz! błogosławię mu! a teraz żegnam cię dobra, żegnam cię! biédna moja matko!« Poczém wzniósł oczy błagające na cesarza, i upadł znowu na ziemię, wyrzekłszy te słowa: »Piękněj Francyi... ostatnie moje westchnienie!«

Napoleon ponuro i z osłupieniem wpatrywał się w umiérającego i rzekł: »Mężny Anzoni! dobry młodzieńcze!... Pensyja, którą jemu przeznaczyłem, matce jego wypłacaną będzie.« Potém obrócił się do pana Ivan, który mu towarzyszył, i rzekł: »Opatrz wćpan, czyli jest jaka pomoc dla niego, zachowaj mi tego bohatéra. To okropnie!« I znowu w głębokich rozmysłach dalej objeżdzał pole bitwy. Zbadywałem Napoleona bardzo często w podobnych okolicznościach, widziałem go nieraz wzruszonego głęboko, lecz nigdy się nie wymknęło mu słówko, zdradzające uczucie żalu, lub bolejące nad nieuchronnémi skutkami wojen.

JAN ŚNIADECKI,

W LATACH 1778—1781. AUTOBIJOGRAFIJA.

(Z Wizerunków i rozstrząsań naukowych; części jedenastéj, 1835 *r.*

(Ciąg dalszy.)

Śniadecki, powróciwszy do Leodyjum, po zwiédzeniu wielu jeszcze innych miejsc w Holandyi, najwięcéj kanałami w różnych kierunkach ten kraj przerzynającémi, zatrzymał się czas niejakiś w tém mieście. Nabrał przekonania podczas téj podróży, że zatrudnienia handlowe Holendrów nadto im wiele odrywają czasu i myśli od nauk, tak, że stan naukowy tego kraju nie może iść w porównanie z jego zamożnością i środkami. W akademii leodyjskiéj naprzykład, nie było żadnego prawie matematyka, jedna tylko medycyna dawną jéj sławę utrzymywała. Uczony Hennert w Utrechcie i Van Suimden w Franeker, sławny fizyk, sami prawie w umiejętnościach dokładnych dali się publicznie poznać z większym zaszczytem na świecie uczonym, Napisał o tém Jan Śniadecki obszérnie do Kästner'a z Paryża, pod dniem 23. sierpnia 1780 r., który w odpowiedzi swojéj z Gettyngi przyznaje, że postrzeżenia jego są ważne i prawdziwe. Nowo zabrane znajomości i związki z uczonymi w Holandyi, zjednały dosyć wielką wziętość młodemu Polakowi. Powiększały ją niewypowiedziane towarzyskość i uprzejma żywość Śniadeckiego, która wielu zwabiała i garnęła do niego. Często nawet nie mógł się obronić od natrętników, którzy go i czasu i cierpliwości dużo kosztowali. Takie było między innémi zdarzenie z pewnym Afrykaninem w Leodyjum, który go ścigał bez zmordowania, chcąc się koniecznie nauczyć logiki u niego. Byłto człowiek olbrzymiego wzrostu, syn bardzo bogatego osadnika z przylądku Dobréj-nadziei. Zawróciła mu się głowa dosyć nową jeszcze wtenczas nauką logiki; czytał więc wszystkich dobrych i złych bez wyboru pisarzy w téj materyi, i nie mógł z nimi trafić do końca.

A że mu się Jan Śniadecki bardzo podobał, gdy go codzień prawie w różnych zgromadzeniach widywał, ułożył sobie, że musi doskonale umieć ulubioną od niego logikę, a zatém uczyć tego, który jéj nie umié. Byłato także w swoim rodzaju niepospolita logika! Oryginał ten, biorąc rzeczy trochę po afrykańsku, zapomniał, że prócz jego zapału potrzeba jeszcze było dobréj woli nauczyciela; prześladował więc Śniadeckiego swojém naleganiem i prośbami, codzień z godną podziwienia stałością. Ofiarował mu się jechać za nim tam, gdzie się uda, i trudy jego nauczycielstwa wynagrodzić, tak jak zechce. Trwały te napady ciągle przez czas pobytu Śniadeckiego w Leodyjum, ponowiły się w Paryżu, aż nakoniec wytrwałość jego i roztargnienia wielkiéj stolicy zmordowały naszego amatora logiki i uwolniły Śniadeckiego od prześladowania.

Po krótkiéj, ale bardzo korzystnéj dla siebie podróży w Holandyi, wyjechał nakoniec do Paryża i stanął tam w styczniu r. 1780. Zajmujące jest własne opisanie pobytu jego w tém mieście, które tu co do słowa kładziemy, zostawując sobie przydać na końcu niektóre wiadomości z innych źródeł czerpane:

»Postanowiłem sobie (mówi Jan Śniadecki) w tém mieście: naprzód, doskonalić się w wyższéj matematyce, osobliwie w jéj przystosowaniu do astronomii i mechaniki, poznać prace i dzieła geometrów francuzkich; powtóre, uczyć się chemii, historyi naturalnéj i trudniéjszych traktatów fizyki; po trzecie, poznać literaturę francuzką, znakomitszych w niéj pisarzy, ćwiczyć się w mówieniu i pisaniu językiem francuzkim; nareszcie znaleźć sposoby przebrania się do Anglii, dla poznania nauk i pisarzy tego narodu. Idąc za radą Hennert'a, abym się trzymał kolegium francuzkiego *(College de France)* co do nauk, poszedłem na lekcyję prof. Cousin, tłumaczącego podówczas *rachunek integralny* z dzieła przez siebie wydanego. Uderzyło mię czyste i jasne, a tak nowe dla mnie wystawienie rzeczy, które znałem. Słuchanie ciągłe i pilne tego profesora, przerabianie w domu wszystkich rachunków, rozmyślanie nad jego uwagami i dziełem, podwoiło mój do matematyki zapał, ale razem otworzyło mi oczy na głębszy téj umiejętności widok. Przekonałem się, że umiałem w Niemczech mechanizm rachunkowy, ale nie głębokie myśli w tym rachunku zawarte, i prowadzące od jednego do drugiego działania. Trzeba było przebiedź uwagą cały zbiór moich matematycznych wiadomości i zrobić sobie ich gruntowniéjszy i porządniéjszy widok. W czém był mi przewodnikiem profesor Cousin, który poznawszy mię bliżéj i prawie jak swoje dziecko polubiwszy, nie tylko w każdym czasie i w każdéj trudności do siebie udawać się pozwolił; ale nawet poźniéj po kilka godzin na dzień ze mną pracował, do wyłożenia mi najgłębszych w rachunku integralnym i mechanice rachunków. Zapowiedział nam na rok przeszły szkolny *astronomiję fizyczną*; a zatém aplikacyję najgłębszą rachunku integralnego i mechaniki; do któréjem się gotował przez miesiące wakacyjne, sierpień, wrzesień i październik, rozwiązując najtrudniéjsze zagadnienia w rachunku integralnym z p. Cousin profesorem i moim współuczniem i przyjacielem p. Lefevre'm de Gineau, członkiem dzisiejszym instytutu i izby deputowanych. Jakoż od listopada 1780 do lipca 1781 tłumaczył nam p. Cousin z wygotowanych przez siebie sexternów (które potém przerobił i wydrukował, pod tytułem: *Introduction á l'etude de l'astronomie physique. Paris* 1787 *in 4to)*, problema trzech ciał w całéj rozciągłości z przystosowaniem do biegu księżyca i do poznania trzech dzieł i tablic: Euler'a, Clairaut'a i Dalembert'a. Piérwsza to była podówczas tego rodzaju lekcyja w Paryżu, co do rozległości i gruntowności. Przebiegłem dzieła Dalembert'a, Clairaut'a, Fontain'a geometry, Condorcet'a i akta akademii nauk, co do części matematycznéj i fizycznéj. Kupiłem sobie akta turyńskie i w nich przewartowałem pisma pa. de la Grange. Porobiłem znaczne z tego com czytał wypisy, notowałem to, com zrobił i co mi jeszcze do zrobienia pozostaje w matematyce; bo to było głównem mojém zatrudnieniem. Było nas siedmiu uczniów na lekcyi pa. Cousin: Lefevre de Gineau, sławny dziś medyk paryzki Pinel, jeden Marsylczyk Caillau, znany z dzieł Lacroix, Hiszpan Ximenes, kosztem królewskim sposobiący się na profesora w Madrycie, ja, i jeden Holender, którego nazwiska nie pamiętam, ale który zostawszy profesorem matematyki w Leodyjum, w kilka lat

potém umarł. Słuchałem kursu astronomii pod p. de la Land'em; miałem dany sobie klucz do małego obserwatoryjum w kolegium królewskiém, gdziem się w obserwacyjach astronomicznych ćwiczył z p. Lefevre de Gineau. Zwiédzałem czasem obserwatoryjum wielkie pod pp. Cassini de Thury i Mechain, i często przebywałem u p. Messier'a w małém jego obserwatoryjum *(Hôtel de Clugny)*. Ale najwięcéj mię w astronomii zatrudniały prace i pisma pa. Dionis du Sejour'a, członka parlamentu, u którego często bywałem.*) Kilka kursów chemii z wielką słuchałem pilnością: pod Macquer'em *(au jardin des Plantes)*, pod d'Arçetem *(au College de France)*, pod Sage *(á l'hôtel de Monnaye)*, i pod Brogniar'em *(au College de Pharmacie)*. Bardzo wymownie tłumaczył się Sage, doświadczenia robił z największą zręcznością i dokładnością, ale jego lekcyja była romansem, bo co rok inną hipotezę brał za fundament swojéj nauki, jednę dziwaczniéjszą, jak drugą. Raz *acidum pinque*, drugi raz *acidum phosphoricum*, było piérwiastkiem wszystkich ciał powszechnym. Nie słuchałem tych dubów, alem się pilnie przypatrywał doświadczeniom. Najwięcéj korzystałem z lekcyi d'Arçet'a, i te pilnie sobie, powróciwszy do stancyi, zapisywałem, tak dalece, żem cały kurs chemii jego z pamięci i bez żadnéj skazanéj od profesora książki tłumaczony, miał przez siebie napisany; d'Arçet, dowiedziawszy się o tém, sam moje pismo czytał i pochwalił. Przeczytałem z największą uwagą cały Dykcyjonarz chemiczny Maker'a, sławniéjsze dzieła chemii, tudzież dysertacyje chemiczne w aktach akademii nauk ogłoszone. Praca i teoryja Lavoisier'a dopiéro wtenczas rodzić się i przebijać się zaczęła. Najdelikatniejsze w chemii i docymazyi doświadczenia przez wszystkich prawie znakomitszych chemików w Paryżu robione, starałem się kilkakrotnie widzieć i opisać.*) Wysłuchałem całego kursu mineralogii pod Daubanton'em; odwiedziałem często gabinet mineralogiczny *(au jardin des Plantes)*, dla przypatrzenia się i poznania każdego minerału. Ale najwięcéj pożytkowałem z pięknéj kolekcyi minerałów pa. Sage *(á l'hôtel de Mennoye)*. Młody ówwczas fizyk Charles zakupił sobie i sporządził piękny gabinet fizyczny do lekcyj domowych i płatnych, który starałem się poznać i znakomitsze fizyczne doświadczenia widzieć, korzystając przytém z lekcyj Brisson'a *(au college de Navarre)*, na które uczęszczałem. Ćwiczyłem się w języku francuzkim przez rozmowę, czytanie, pisanie i częste chodzenie na teatr francuzki, gdzie znakomitsze sztuki Kornel'a Rasyn'a, Wolter'a, Molier'a i t. d. grywano. Zakupiłem sobie celniéjszych w literaturze francuzkiéj pisarzy, których przewartowałem; piękniéjszych miejsc uczyłem się na pamięć, zapisywałem sobie wysokie ich myśli i uderzające wyrazy.«

Do objęcia i ocenienia całéj ówczesnéj literatury francuzkiéj wielką był pomocą Janowi Śniadeckiemu sławny Delille, z którym się zaznajomił przez jego przyjaciela pa. Cousin. Słuchał z wielkim pożytkiem i upodobaniem lekcyi literatury łacińsko-francuzkiéj, dawanéj przez Delill'a i tłumaczonéj przez niego na tych lekcyjach *Eneidy*. Prócz tego mieszkając o kilkadziesiąt kroków od tego poety, bywał bardzo często w jego domu. W poufałych rozmowach, ożywionych wesołością dobranego towarzystwa i uprzejmością samego gospodarza, zajmowano się nie raz literaturą polską. Delille nalegał koniecznie na Sniadeckiego, żeby mu tłumaczył poezyje Krasickiego, o którym tyle słyszał od Polaków. Zdaje się nawet, że miał ochotę przełożyć coś z jego wiérszy na język francuzki. Ale Sniadecki opiérał mu się zawsze, przekonywując go, że Krasicki w najlepszych swoich pismach tak jest

*) Z listu J. Sniadeckiego, pisanego do Kästner'a w Gettyndze, pod d. 30. lipca 1781 z Paryża, widać, że p. du Sejour największą mu był pomocą w astronomii. Gdy odmalował mu Sniadecki z właściwym sobie zapałem swoje przywiązanie do téj nauki i gorliwość swojéj pracy, znakomity ten matematyk, poruszony do żywego tém nadzwyczajném poświęceniem się dla nauk młodego cudzoziemca, oraz ufnością z jaką szukał jego rady i pomocy, poświęcił Śniadeckiemu cały ranek każdéj niedzieli, gdzie roztrząsał z nim ważniéjsze problemata nauki niebieskiéj i rozwiązywał zadane sobie trudności. Pozwolił mu nadto radzić się zawsze swoich ważnych i licznie zgromadzonych rękopisem astronomicznych, z których Sniadecki obszérne porobił wyciągi. (Przyp. aut.)

*) Kiedy Śniadecki w listach swoich do Kästner'a, pisywanych z Paryża do Gettyngi, donosił, z jakiem upodobaniem słuchał lekcyj chemicznych; Kästner mu odpowiedział: *La Chymie etoit la science favorite des Français au tems du feu Regent, ainsi elle en fait, que reprendre ses anciens droits. S'ils rendent justice aux Allemands, ils avoueront que ceuxci et dans les derniers tems les Suedois, sont leurs maitres.*

narodowym poetą, że go nawet niepodobna tłumaczyć. Wystawił mu jednak myśl i układ *Myszeidy* i *Monachomachii*, które się Delill'owi bardzo podobały. Raz nawet, kiedy autor *Ziemianina* wznowił rozmowę o bajkach Krasickiego, Śniadecki przełożył mu na język francuzki: *Wstęp do bajek*, z czego Delille był bardzo uradowany, znajdując w tém wiele dowcipu i dziwnéj łatwości.*)

Wtenczas także poznał się w Paryżu z sławnym Laplacem (*de Laplace*). Byłto jeszcze bardzo, jak zowią, chudy pachołek, i nikt nie przewidywał jego świetnéj przyszłości pod Napoleonem. Laplace przypuścił Śniadeckiego do swego towarzystwa, lubił rozmowę z nim i wspiérał dobrémi radami, tak, że Cousiu, Delille i Laplace, byłyto trzy osoby, u których codzień prawie bywał a Lefevre de Gineau największym przyjacielem i towarzyszem nauk i rozrywek.

Z Polaków jeden tylko był dom margrabstwa Wielopolskich, który odwiedzał czasami, bo zupełnie poświęciwszy się naukom, unikał nawet częstego spotykania się ze współrodakami, żeby czasu zbyt drogiego nie psuć pod żadnym względem. Byłto niemały gwałt, który sobie zadawał Śniadecki, a który łatwo pojmują ci, co długo oderwani od swojéj ziemi, czuli tęsknotę do niéj i do swych ziomków. Ale ta jedyna znajomość polska w Paryżu zabrana, bardzo mu się stała za powrotem do kraju miłą i użyteczną, jak to poźniéj zobaczymy. Prócz osób poufnych, z jakiemi żył w ścisłych związkach Jan Śniadecki podczas swego pobytu we Francyi, a które tu wyliczyłem, było jeszcze kilku wyższéj sławy i znaczenia ludzi, których przychylną opiekę zjednać potrafił. Z tych piérwszym był znakomity nauką i znaczeniem margrabia Condorcet, a drugim sławny d'Alembert. Obu zarówno zyskał skuteczną protekcyją i życzliwe skłonności, ale ostatni pokazał się szczególniéj troskliwym o los jego. Byłto zimny wprawdzie człowiek, dumny z nauki i sławy, ponurego humoru, lecz miał dobre serce i lubił tych, co się poświęcali naukom. Od saméj kolebki losowi poruczony, dobijając się sam wszystkiego, bez rady, bez pomocy i bez przyjaciela, ten znakomity człowiek umiał cenić chwalebne usiłowania drugich; a przez pamięć na to, czego doświadczył w swém życiu, nie mógł być obojętnym dla wszystkich, którzy z prawdziwym zapałem i przywiązaniem szukali w zawodzie naukowym bytu i sławy dla siebie, a pożytku dla ludzkości.*) Młodzi Hiszpanie, uczący się na koszcie króla swojego umiejętności w Paryżu, będąc towarzyszami Jana Śniadeckiego i doznając jego pomocy w objaśnieniu niektórych zawilszych zagadnień matematycznych, nie mogli się odchwalić swojego przyjaciela przed ministrem dworu swojego. Tym ministrem był hrabia d'Aranda, niegdyś ambasador hiszpański w Warszawie, który lubił bardzo Polaków i żył w ściśléj przyjaźni z d'Alembert'em. Nagadał więc d'Alembert'owi o zapale i usilności w uczeniu się Śniadeckiego, a że d'Alembert od wielu innych słyszał o wielkim postępku w naukach matematycznych młodego Polaka, przyjmował go więc z wielką grzecznością, pomimo zwyczajny sobie kwaśny humor i nieprzystępność. Uprzejmość ta zmieniła się nawet w życzliwe i prawie ojcowskie skłonności. D'Alembert zachęcał Jana Śniadeckiego do wytrwałości w powziętych raz usiłowaniach, ale zawsze dodawał: »że on w Polszcze, pzzy największych w matematyce wiadomościach, żadnego sobie losu nie zrobi, radząc oraz, ażeby do kraju nie powracał.« Poźniéj nieco, za piérwszém widzeniem się powtórzył d'Alembert radę swoję Śniadeckiemu, aby już o powrocie do kraju nie myślał, dodając i to, że ma zamiar coś pewnego i pomyślnego dlań upatrzyć.

»Ta zaś była (powiada Jan Śniadecki) szczególniéjsza dyspozycyja mojego umysłu, że od wyjazdu z Polski, zatopiwszy się w naukach, nigdym ani pomyślił, ani pomyślić nie chciał, co z sobą zrobię na przyszłość? i jaki będzie los mój po skończonych naukach? Pisałem z Gettyngi do książęcia Michała Poniatowskiego, biskupa płockiego, prezydującego w komissyi edukacyjnéj, prosząc o pomoc z funduszu edukacyjnego na wydatki mego wojażu. Odebrałem odpowiedź, że dochody komissyi nie pozwalają jéj teraz dawać żadnéj pomocy, choć jéj wiadoma moja do nauk aplikacyja. Zmartwiłem się trochę tą odpowiedzią, alem się w mojéj usilności nie zraził. Pomyślałem tylko sobie, że na komissyję edukacyjną, co do przyszłego mego losu, spuszczać się nie należy, że trzeba swoje zrobić, nie ustawać w zaczętém przedsięwzięciu, nie trwożyć się przyszłością, a nauczywszy się tego, com sobie zamierzył, dosyć będzie wtenczas pomyślić, jak i gdzie użyć mojéj nauki.« (Dokończenie nastąpi.)

*) Nie mogę tego zapomnieć, jak się dziko wydawało Janowi Śniadeckiemu tłumaczenie *Myszeidy*, przez księdza Lavoisier na język francuzki, który ją nazwał *La Souriade*. Bez wątpienia dobre były chęci księdza Lavoisier'a, jako cudzoziemca, chcącego się tym sposobem wywdzięczyć krajowi, w którym dobry byt dla siebie znalazł. Ale możeż mieć wyobrażenie Francuz o ślicznym poemacie *Myszeidy* naszego Krasickiego, z tak zwanéj *Souriady*? Dowcip wiérsza, wdzięk poezyi, szczęśliwe zwroty i wyrażenia polskie *Myszeidy*, wszystko to zniknęło w *Souriadzie*. Zostały oschłe rymy i niezrozumiane dla cudzoziemca nazwiska.

*) D'Alembert był synem znanéj z piękności i dowcipu pani de Tencin i komissarza artyleryi Detouches.

— Ze Lwowa. —

Literackie wiadomości. Wyszedł szósty i ostatni zeszyt: *24ch widoków miasta Krakowa*, wydany nakładem D. E. Frydleina, bardzo starannie i pięknie; doskonały jest rysunek pana J. N. Głowackiego i ślicznie dokonana litografija w Paryżu, i zamyka w sobie widoki: 1) Kościoła S. Piotra. 2) Przedmieścia Stradom. 3) Wewnętrznej części zamku królewskiego w Krakowie. 4) Uniwersytetu Jagiellońskiego (z osobnémi opisami po polsku, po francuzku i po niemiecku); dołączony jest: plan miasta Krakowa. (Wspomniony w opisie przedmieścia Stradomia bożek sławiański *Stra*, że miał być *bożkiem wiatrów*, mniéj się zgadza ze źródłem polskiéj mowy; ponieważ brzmienie *stra*, gdy jest źródłem słów: straszydło, strach, straszyć, strzała, strzał, strzelba — więc zdaje się, że jeżeli był sławiański bożek *Stra*, to był pewnie *bożkiem strachu*.) Pożądaną byłoby rzeczą i godną uskutecznienia, aby się kto zajął odrysowaniem środkowych widoków Lwowa, i równie doskonale na kamieniu odrysowane je wydał, z dołączeniem planu miasta i z mappą całéj posiadłości tak miejskiéj jako i wiejskiéj, do miasta Lwowa należącéj.— *Kazanie w czasie nabożeństwa żałobnego, odprawionego za duszę ś. p. ks. Franciszka Faygla, proboszcza infułata kapituły przemyskiéj i officyjała przemyskiego, powiedziane* 14. *marca* 1836 *r. w katedrze przemyskiéj, przez ks. M. Korczyńskiego, biskupa przemyskiego, ś. teologii doktora;* we Lwowie, czcionkami Piotra Pillera, 1836. (Oddana została temu z powszechnym żalem zgasłemu prałatowi, należna i ciężko zasłużona pochwała i cześć, którą mu cała powszechność za życia okazywała, najwyższym szacunkiem jego nieporównanych cnót.) *A.*

Na jedném z przeszłorocznych posiedzeń petersburskiéj akademii nauk, znany oryjentalista akademik Frähn czytał rozprawę o *piśmie dawnych Russów*. Rozprawa ta późniéj ogłoszona została w jedném z petersburskich dzienników (*Biblioteka dlia cztenija*, kwiecień 1836). Krótko treść jéj wskażemy: Ze świadectwa arabskiego pisarza Jou-Fodlana wiadomo już było, że dawni Russowie w 10tym wieku mieli pismo, lecz nikt nie wiedział, jakie to było pismo, czy sławiańskie, czy runiczne, czy jakie inne. P. Frähn w innym pisarzu arabskim Nedimie (987 r. pr. urod. Chr.) znalazł następujące podanie: »Jeden z moich znajomych, którego słowom wierzyć zupełne mam prawo, powiadał mi, że był posłany po króla Russów przez jednego z władzców kaukazkich. Powiadał mi także, iż Russowie mają swoje pismo, które wyrzynają na drzewie; tu wyjął i pokazał mi kawałek białego drzewa, na którym były nacięte figury; nie wiém, czy one wyrażały całe słowa, czy pojedyńcze głoski, ale tak wyglądały.« W rozprawie pa. Frähna znajduje się i rysunek liter dochowanych w arabskim pisarzu, niepodobnych ani do sławiańskich, ani do runicznych, lecz przypominający bardzo niewyczytane dotąd napisy w blizkości góry Synai, wyrznięte na skałach po drodze do Suez, których dokładny przerys nie dawno podał pan Grey w *Transactions of the Royal Society of Literature, vol. II. part I.* Wskazawszy to podobieństwo, p. Frähn dalej jeszcze zastanawia się nad rozbiorem podania o poselstwie z Kaukazu. — P. Abraham Norow w podróży odbytéj do Egyptu i Nubii, zebrał wiele rękopisów i starych druków sławiańskich i greckich. Moskiewski dziennik *Moskowskij Nabljudatel* (r. I., zeszyt 8) spodziewa się, iż zbiór ten będzie wkrótce dostępny dla miłośników starożytności. (T. P.)

Koronacyja J. K. M. Cesarza Ferdynanda w Pradze. Do nastąpić mającéj koronacyi Najj. Cesarza Austryi na króla czeskiego w Pradze, poczyniono niesłychane w naszych czasach przygotowania. Oprócz różnych muzyk, karuzelów, skoczków na linie, balonów, założono 16 placów do tańców dla włościanów, a 2 dla Prażan; a przyczém na 30,000 ludzi sprowadzono 15,000 funtów mięsa w szynkach, ozorach i t. d.; 160,000 bułek, 300 beczek piwa, co wszystko ludowi bezpłatnie rozdawaném będzie. Z każdego z 16 obwodów czeskich przedstawioną będzie para narzeczonych w właściwym sobie stroju, która po 200 talarów sr. od Stanów czeskich otrzyma. Następnie okaże się tam orszak z 400 górników złożony; w ogole nic oszczędzonem nie będzie do uczynienia świetnym i wesołym ten obchód koronacyj.

Obraz Paryżanek. Autor »Nocy florenckich« tak nam je kreśli: Nie znam nic trafniéjszego nad tę powiastkę gminna, jakoby Paryżanki z wszystkiemi błędami na świat przychodziły, i że potém jakaś dobra wróżka lituje się nad niemi, i do każdego ich błędu przywiązuje cząstkę czarodziejskiego uroku. Dobroczynna ta wróżka zowie się wdziękinią (gracyją). Sąż Paryżanki piękne? Któż zdoła zgłębić wszystkie intrygi toalety, kto odgadnie, oceni, czyto wszystko prawda, co pod tiulem się objawia, lub czy fałszu w tém nié ma, czém się buchasty jedwab' tak pyszni? Niechże powiedzie się bystremu oku przebić skorupę i dotrzéć do samego jądra, natenczas nowa pokazuje się na niém łupina, i znowu inna, i tak ciągle nieustannym ruchem mody szydzą sobie z męzkiéj przenikliwości. Rysy ich twarzy sąż piękne? i tu trudno dociekać prawdy. Albowiem wszystkie ich rysy są w tak ustawnym ruchu, że każda Paryżanka ma tysiąc twarzy, jedna więcej śmiejąca się, inna dowcipniejsza, więcéj ujmująca od drugiéj, tak, że w niemałym kłopocie jest ten, ktoby chciał albo najpiękniéjszą, albo najprawdziwszą twarz wybrać między niemi. Oczy mająż wielkie? trudno powiedziéć!... Któż pyta o wagomiar działa, kiedy mu kula głowę zerwie? Jeżeli kogo nie ugodzą te oczy, to go przynajmniéj tak swoim ogniem oślepią, że człowiek ma się za szczęśliwego, jeżeli mu szkodzić nie mogą. Czy odległość między nosem i ustami jest u nich széroką lub wązką? Czasami széroką, jeżeli zadzierają nosa; czasami wązką, kiedy zwierzchnia warga kurczy się pogardą. A ustaż ich czy wielkie, czy małe? Któż może wiedziéć gdzie u nich się usta kończą, a uśmiéch zaczyna? chciawszy dać o tém zdanie, potrzeba, aby sędzia i przedmiot sądu zostawali w stanie spoczynku. Lecz któż może być obok Paryżanki spokojnym, kto kiedy widział Paryżankę spokojną? Są ludzie, którym się zdaje, że mogą przypatrzyć się motylowi, przebiwszy go do papieru śpilką. Nierozsądek i okrucieństwo! Motyl przywiązany i nieruchomy przestaje być motylem; trzeba go widzieć, kiedy igra z kwiatami; Paryżankę trzeba widziéć nie w domowém życiu, gdzie śpilką przebite ma łono, lecz w salonie, na wieczorach, na balach, kiedy trzepioce skrzydełkami z jedwabiu i haftowanéj gazy, w świetle jaskrawych żyrandoli. Wtenczasto objawia się w niéj owa żądza używania życia, owo pragnienie upojeń zawrotu głowy, które ją smętnie upięknia i ozdabia takim urokiem, że dusza nasza jest zachwyconą i przerażoną na poły. Ta żądza namiętna życia, jak gdyby śmierć następnéj chwili miała przeciąć to złote pasmo; ten gwałtowny popęd, ten szał Paryżanek, mianowicie na balach, przypominają mi gminne powieści o nocnych tancerkach *wilach*. Sąto, jak podanie mieni, młode narzeczone, zmarłe przed ślubem, które taką miłość zachowały do pląsów, że w nocy wychodzą z grobów, idą na rozstajne drogi, i tam zwodzą korowody. W weselnych szatach, z uśmiéchem, który dreszczą przejmuje, pełne czarodziejskiéj piękności *wile* tańczą przy świetle księżyca, a z tém większym tańczą zapałem, że czują zbliżającą się północ, gdzie będą musiały wrócić do zimnych swoich grobowców.

Uczony świat paryzki od kilku tygodni zajęty jest nadzwyczajnie pamiętnikami o ćwiokowych napisach per-

sepolitańskich, które pan Bourneuf odczytywał w akademii. Jestto pięć pamiętników, zawierających dokładne objaśnienie i wyczytanie wszystkich napisów w trzech rodzajach ćwiokowego pisma. Zdaniem wszystkich, którzy odczytanie tych pamiętników słyszeli, zagadnienie rozwiązaném zostało; uczona publiczność wkrótce sama o tém sądzić będzie mogła, albowiem te pamiętniki wkrótce wyjdą z druku.

Orang-utang i *foka* w *Jardin des Plantes* w Paryżu stracą niebawem na swojéj wziętości, skoro podarunek króla Siamu dla króla francuzkiego przybędzie. Zrośnięci siamscy bracia, Yang i Eng, mieli w swojéj ojczyznie rozsławić spaniałomyślność Paryżan w przyjęciu ich, padczas gdy bawili w téj stolicy; wiadomość ta doszła do uszu króla Siamu, który wziął sobie za punkt honoru, odwdzięczyć gościnność wyświadczoną jego poddanym; jakoż w tym celu posyła białego słonia do Paryża; dar najdroższy, jakim się Siam pochlubić może.

Dla rolników wschodzi nowa pomyślności gwiazda! Odkryto dla nich taki sposób uprawy zboża, że nie tylko ludzi, ale i bydło wyżywić będą mogli z łatwością. Otoż ów sposób: zboże (pszenica, żyto, jęczmień i t. d.) zasiewa się już nie na wiosnę, ani w jesieni, lecz w najgorętszéj porze roku, w czerwcu i lipcu; takowe zboże zeszedłszy i podrósłszy, w jesieni skasza się dwa razy, na paszę dla bydła; co nie wadzi, aby w następnym roku nie miał być zbiór najobfitszy. Odkrycie to winniśmy pewnemu francuzkiemu agronomowi; akademija francuzka zastanawiała się nad tém, a major Renner w Polling bardzo korzystnie doświadczał tego sposobu.

Kiedy płomień gazu kwasorodnego i wodorodnego padnie na kamień wapienny i takowy rozżarzy, natenczas powstaje tak zwane Drumond'skie światło, używane dotąd tylko w mikroskopach, a w blasku swojém przewyższające słońce. P. Gaudin zrobił propozycyję, aby użyto tego sposobu do oświécania ulic; a podług jego zdania i w szklarniach mogłoby to światło zastępywać słońce.

O cuda dziś nie trudno; każdy dzień przynosi nowe odkrycie, nowy wynalazek. Nie mówiémy tu już o parze i tym podobnych rzeczach, ale o małém, trudném do uwierzenia zdarzeniu. Kto kiedy słyszał o tém, od czasów Fidyjasz'a aż do Thorwaldson'a, aby jaki człowiek, bez wszelkiéj nauki, bez nauczyciela, bez wyobrażenia o sztuce, wziął piérwszy lepszy kawał głazu i najgorszémi narzędziami tak długo dłubał, aż owa nieforemna bryła przybrała postać Apolina; Apolina, który nie może wyrzéc się swojéj boskości. Otoż tym człowiekiem jest dziś w Paryżu jakiś przedający limoniadę, Belgijczyk Ranelle; pięciu najpiérwszych malarzy i trzech snycerzy stwierdzili swemi podpisami, że dzieło to godném jest podziwu.

Sułtan Al-Hakan, panujący w Egypcie, zakazał w 11tym wieku osobnym nakazem, wszystkim szewcom, aby nie ważyli się robić dla kobiét trzewików, albowiem podług jego zdania, przyzwoitość i obyczajność tak wymaga, aby nie wychodziły z domu.

Napoleon (powiada Caulaincourt) nie znał i nie lubił kobiét, i miał za rzecz niegodną siebie zgłębiać ich przymioty. Nie chciał on, aby kobiety były uczone, tém mniej sławne, a najwięcéj oburzał go ich wpływ na męzką wolę. Niczém innem nie były one dla niego, tylko powabnym utworem, piękną igraszką do przepędzenia czasu. »Miłość,« mawiał on, »jest głupim przesądem, i niczém więcéj!« Pewnego razu odmówił awansu pewnemu urzędnikowi z tego powodu, iż się dowiedział, że nad nim żona ma władzę.

O kilka wiorst od miasta Moskwy żyje pewien włościanin, który obdarzony jest tak wielką nieczułością, nie, jakby kto mniemał, na ciosy losu, ale na razy kija, że za rubla pozwala sobie wyliczyć 50 kijów najsilniéjszą ręką, nie okazując w rysach swoich najmniejszego śladu bolu; owszem zachowując największą nieczułość. Że zaś nie brakuje na ludziach, którzy jedyną uciechę mają w udzielaniu chłosty, przeto ów osobliwy człowiek zebrał niepośledni majątek. Jako rówiennik do tego włościanina znajduje się tam także pewien żebrak, który do utrzymania życia otworzył sobie w tém sposób, że daje się policzkować za kilka grosze, ile razy kto zechce.

W Londynie zajęto się budowaniem balonu powietrznego, który ma nieść 16 osób. W obwodzie będzie miał stóp 60, a cały aparat, bez gazu, bez balastu i podróżnych, wyniesie 700 funt., sam gaz zaważy 2000 funt.

W puściznie po doktorze O'Meara znajdują się następujące osobliwości: Kosztowna szabla, którą Napoleon miał w Egipcie; kilkanaście sztuk srébrnych łyżek i widelców, należących do Napoleona na wyspie Stéj Heleny; przytém kilka wiérszy ręki Napoleona; kilka kędziorów jego włosów, i jeden ząb.

Pewien szkocki kapitan Dawidson będąc zadłużonym nadzwyczajnie, zaasekurował życie swoje dla bezpieczeństwa wierzycieli za 18,000 funt. sztrl. i jak wieść głosi, utopił się w dwa lata potem, kąpiąc się w rzece. Suknie jego znaleziono na brzegu, złożono inne jeszcze świadectwa, tak, że suma wyliczona została. Teraz zaś ów mniemany topielec zjawił się w okolicy Edymburga; śledzą go wszędzie, i, jak się spodziéwać, rozpoczną z nim procés, zapewne jedyny w swoim rodzaju.

Ogrody w głębiach morza. Płynąc pomiędzy mnóstwem drobnych wysp w Indyjach zachodnich, zdaje się, jakobyto była ogromna łąka, poprzerzynana najpiękniejszémi strumykami i uwieńczona krzewy. Ale nie dosyć, że nad wodą najcudowniejsze rosną ogrody, oko płynącego, gdy się zwróci w głąb morza, ujrzy tam nierównie ciekawsze ogrody. »W bliskości brzegów tego archipelagu (powiada pewien naoczny świadek), znajdują się podwodne sady. Woda tam jest przy głębokości stóp 60, aż do dna najczystszą i przezroczystą. Łódź płynie po kryształowéj równinie, na któréj zdaje się być jak w powietrzu zawieszoną. Kto nie nawykły do tego widoku, ten zrazu doświadcza zawrotu głowy. Na najczystszym piasku widać tysiączne rodzaje pijawek morskich, ślimaków, raków i ryb, tak przecudownych kolorów, że w Europie nié mają nawet wyobrażenia o nich. Najświetniejsze purpury, najczystszy błękit, zieloność szmaragdowa, blask złota, sprawują dziwną grę kolorów. Płynący buja nad szczytami lasów z morskich roślin; są tam georginie, karole, aleyony i tysiączne gąbkowe krzewy, które nie mniéj oko swoją rozmaitością czarują, a kołysane falami taki przedstawiają widok, jak najpiękniejszy ogród na ziemi, gdy po nim lekki chłodek przeciąga. Oko doznaje złudzenia w ocenieniu głębokości; zdaje się, iżby ręką można uszczknąć gałązkę którego z tych krzewów, które zaledwie 10stopniowe wiosło dosięgnąć jest w stanie.

Tyranija zdobywców. Po opanowaniu Anglii przez Duńczyków, każdy Anglik, który spotkał Duńczyka, powinien był zatrzymać się, uklęknąć i w tém położeniu tak długo zostawać, pokąd tyrana z oczu niestracił.

Kaligula kazał był pewnego króla z Cyrenei do więzienia wtrącić, ponieważ miał purpurę daleko świetniéjszą na płaszczu, a Neron skazał na śmierć człowieka doświadczonej cnoty za to, że mu się jego szlachetny chód nie podobał.

Moc narodowości. Król hiszpański Karol III. wkrótce po swojém na tron wstąpieniu, surowym rozkazem zabronił poddanym noszenia kapeluszy z szérokiemi brzegami i obszérnych długich płaszczy. Zakaz ten sprawił powstanie w Madrycie, co zmusiło króla do ucieczki, gdy prawie 100 żołniérzy jego wallońskiéj gwardyi przez lud wyrzniętych zostało... spieszne odwołanie tego rozkazu, wstrzymało niechybną rewolucyję.

Redaktor Jan: Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.